

Danuta Ulicka

Uniwersytet Warszawski

Utarczki i perswazje (1982–2013)

Abstract

Quarrels and persuasions 1982–2013

The author recalls her quarrels and disputes with Professor Markiewicz, led for over 30 years, both in the pages of scientific magazines, as well as in private correspondence. In the memories of the author Professor Markiewicz seems to be a role model of scientific conscientiousness, which is meticulous and critical in his assessments, but at the same an extremely kind, inspiring advisor and guide, always ready to serve with his knowledge and unmatched erudition.

Słowa kluczowe: Markiewicz Henryk, wspomnienie, polemika, teoria literatury, fenomenologia

Keywords: Markiewicz Henryk, memoir, polemics, literary theory, phenomenology

Zacznę od końca, od ostatniej potyczki z Profesorem, z maja 2013 roku. Poszło tym razem nie o mój autorski tekst, ale o tłumaczenie niewielkiego, dziesięciostronicowego ledwo rozdziału książki Łotmana *Analiz poetyckiego teksta*. Przekład klasycznego strukturalistycznego rozbioru wiersza Puszkina tytułowanego incipitem *Zorju bjut...* (w polskim tłumaczeniu Jastruna *Capstrzyk grają...*) okazał się nadspodziewanie trudny. Łotman z chirurgiczną precyzją rozdzielał poszczególne warstwy utworu, od brzmieniowej poczynając, by niespiesznie dojść do jego historycznej semantyki. Pokazała te międzypoziomowe przejścia w innym języku, choćby nawet tylko w tłumaczeniu filologicznym, było karkołomnym zadaniem. Tym bardziej, że strukturalistyczne procedury w naszej nauce o literaturze już dawno zostały złożone w archiwum. Drugą trudność sprawiała przywoływana przez Łotmana literatura przedmiotu, także

złożona z prac operujących terminologią, która – jeśli w ogóle została polszczyźnie przyswojona – to również dawno temu wypadła z obiegu. Sama Łotmanowska analiza znaczenia form wersyfikacyjnych w kontekście historycznym epoki była jednak zaskakująco świeża. By to pokazać, ryzykując deformację, zdecydowałam się odejść w przekładzie od filologicznej dokładności i zmodernizować oryginał. Wspierana autorytetem nowszych koncepcji translatologicznych, przekazałam go, jak sądziłam, zrozumiale i interesująco dla odbiorcy wychowanego nie na formalistach i semiotykach, ale ich późnych wnukach.

Profesor Markiewicz bezwzględnie przywrócił mojej dwumiesięcznej robocie postać filologiczną, ani na moment – nawet w szyku wyrazów – nie uchybiając oryginałowi. Co więcej, oparzył swoje korekty wyjaśnieniami i licznymi przypisami, wytykając surowo każde nieuprawnione. Jego zdaniem, przesunięcie. Rozpoczęła się korespondencyjna dyskusja (bardzo trudna, bo pismo Profesora było już bardzo nieczytelne). Na krótkim tekście przekładu rozgrywała się kilkuodcinkowa polemika sięgająca do argumentów z dwóch różnych, niemożliwych do uzgodnienia koncepcji przekładu. Po paru listach ustąpiłam, bo i argumentów w końcu zabrakło, i koniec końców to Profesor był redaktorem tomu, w którym artykuł miał się ukazać, ja zaś tylko wykonawcą. Jak zwykle nienaganny, podziękował. To była ostatnia wymiana listów.

Profesor Henryk Markiewicz był nie tylko człowiekiem książkowym, jak go określił Stanisław Balbus, lecz także człowiekiem epistolarnym. Nasza korespondencja, uświadamiam to sobie dopiero teraz, trwała 30 lat. Listy pisane odręcznie (dopiero w ostatnim okresie elektroniczne), na starannie przeciętych na pół gładkich kartkach formatu zeszytowego, czasem na tzw. kiedyś przebitkach, opatrzone na odwrocie koperty pieczętką z adresem nadawcy, dotyczyły różnych spraw. Niekiedy wyrażały uznanie, czasem prosiły o radę lub wskazówkę (te napełniały mnie szczególną dumą), niekiedy o książkę z lokalnego wydawnictwa wydziałowego, którą przesłać największemu polskiemu bibliomanowi zaniedbał jakiś młody autor, nieświadomy tego środowiskowego obyczaju, najczęściej jednak były to, oczywiście, listy polemiczne. Zawsze – rzeczowo polemiczne, z odnośnikami i przypisami, nigdy protekcjonalnie karzące, ironiczne, a już na pewno nie szydercze.

Nie zaliczam się do bezpośrednich uczniów Profesora. Spotkaliśmy się twarzą w twarz tylko dwa razy, w roku 1982 i na krakowskim Zjeździe Polonistów w roku 2004. Ale długoletnia regularna korespondencja sprawiła, że miałam naturalne, mimowolne poczucie Jego życzliwej i bezwzględnie krytycznej obecności na każdym etapie badawczych poczynań. Od pierwszego kroku.

Zaczełam od końca, uwiedziona chwytem Szklowskiego, który we wspomnieniach o Majakowskim przytomnie zauważył, że nie trzeba ich konieczności zaczynać od początku, ale przecież mogłabym właśnie od pierwszego spotkania i pierwszego listu. Był rok 1982, rok mojej pierwszej konferencji naukowej. Dziś, gdy przeciętny doktorant, a nawet student, bierze udział w kilku sesjach rocznie, i to międzynarodowych, trudno zapewne zrozumieć, jaką rangę

miało ongiś zaproszenie tzw. młodszej asystentki do wystąpienia z referatem na sympozjum ogólnopolskim. Zorganizowane przez ówczesny Instytut Filologii Polskiej UJ w 200. rocznicę powstania Katedry Literatury w Szkole Głównej Koronnej, dotyczyło dziejów polskiej nauki o literaturze – tematu bliskiego Profesorowi, który i mnie od pewnego czasu intrygował. Nietrudno wyobrazić sobie euforię, gdy po kilku miesiącach od złożenia tekstu do druku dostałam od Profesora pierwszy list z dołączonym paskiem recenzji wydawniczej, z której dowiedziałam się, że anonimowy dla mnie autorytet uznaje – mogę to recytować z pamięci, bez sprawdzania – tekst Danuty Ulickiej za najlepszy w tomie! Jednakże nie to jedno zdanie, ale prywatny list od samego Markiewicza przesądził o temacie doktoratu. Tym bardziej, że wskazywał tyle problemów czekających na podjęcie i podjęcia warty, o których nowicjuszka nie miała wtedy pojęcia.

Profesor był potem recenzentem wydawniczym tego doktoratu, powstałego nie tylko pod emocjonalnym wpływem Jego inspiracji, ale też Jego książek i antologii poświęconych polskiej nauce o literaturze, jak ją zwykle nazywał (nigdy nie ośmieliłam się zapytać, czemu nie „wiedzy o literaturze”?). Redaktorka z PWN-u, niezapomniana pani Barbara Gomulicka, oznajmiła mi, że wskazał w maszynopisie trzy miejsca bibliograficznie wadliwe lub fałszywe. Odczułam to jako miażdżącą krytykę; dopiero potem wielokrotnie przekonałam się na własnej (i cudzej) skórze, jakiej wagi był to komplement. Wszystkiego trzy uchybienia na ponad piętnastu arkuszach! Czytelnik „Dekady Literackiej” wie dobrze, jakim wytrawnym tropicielem nieuważności, niechlujstwa, lenistwa i zwyczajnego nieuctwa, bezpodstawnych generalizacji, retorycznych szarż, a przede wszystkim wyważania otwartych już drzwi był Kamerzysta. A on sam z kolei zdawał sobie doskonale sprawę, z jakim przekazem część środowiska przyjmuje jego surowe opinie. Część z nich – z lat 1947–2006 – przedrukował w zbiorze *Utarczki i perswazje*. Znalazł się tam i *passus* poświęcony mojemu esejowi o *Ogólnikach* Norwida, pisanemu pod wpływem fascynacji dekonstrukcją, z której stylem myślowym i pisarskim Profesor – czego nie ukrywał – nie mógł się pogodzić.

A przecież nie był w tych wytknięciach małostkowy i nie kompromitowanie nierzetelnych autorów miał na celu. Rzadko przy tym dbał o swoje. Raz tylko, gdy przyjmował do „Pamiętnika Literackiego” mój artykuł o Ingardenie, upomniał się *pro domo sua* wskazując na ewidentne „przepisanie”, jak je wielkodusznie potraktował. Notabene miał w „Pamiętniku” godną pomoc – nieocenioną sekretarz redakcji, panią Zofię Sypulanę, która potrafiła odnaleźć każdy błąd językowy czy po prostu językową nieporadność. Także jej uwagi przyjmowałam z pokorą, tylko raz odpierając stanowczy atak wymierzony w sformułowanie „sąd trafia w przedmiot” zakończony zdroworozsądkowym pytaniem, czy sąd może w ogóle w coś trafiać, argumentem, że to cytata z Ingardena.

Najostrzejsze starcia z Profesorem dotyczyły właśnie Ingardena. W szczególności zaciętym poszło o artykuł opublikowany po konferencji z września

2001 roku „Sporne i bezsporne problemy współczesnej wiedzy o literaturze” w książce pod tym samym tytułem. Organizatorzy jubileuszowego, trzydziestego spotkania zorganizowali panel „Co nam zostało z...”. Profesor został poproszony o wypowiedź „Co nam zostało z marksizmu”. Mnie przypadła fenomenologia. Swoje wystąpienie świadomie zatytułowałam *Roman Ingarden a rozwój teorii badań literackich (w Polsce i za granicą w latach 1980–2000)*, nawiązując do artykułu Profesora z 1972 roku *Roman Ingarden a rozwój badań literackich*, by dobitnie zasygnalizować zamiar kontynuacji Jego pracy. Odwołując się do tekstu, jeszcze tę intencję wzmocniłam, dedykując Mu artykuł.

Profesor obruszył się na moje rozpoznania, mimo że zostały solidnie podbudowane literaturą przedmiotu odnotowaną w 68 przypisach. I chyba poczuł się dotknięty, jak gdyby artykuł był polemiką z Jego studium i podważał Jego ustalenia, a nie sprawozdaniem ze zmiany w światowym i polskim widzeniu Ingardena, niezaskakującej przecież wobec różnicy czasowej między naszymi badaniami, sięgającej 30 lat, i w ogóle zmiany literaturoznawczego paradygmatu. Toteż na kolejny list wytykający, że pominęłam kilka ważnych prac odwołujących się naszego fenomenologa, odpowiedziałam buńczucznie, iż za to przywołałam kilkanaście innych. Artykuł w zmienionej i rozszerzonej wersji, ale bez uwzględnienia wskazanych przez Profesora prac (nie iżbym je lekceważyła, ale ich odnotowanie nie zmieniłoby ogólnego rozpoznania), wszedł potem do mojej książki *Literaturoznawcze dyskursy możliwe. Studia z dziejów nowoczesnej teorii literatury w Europie Środkowej i Wschodniej*. Profesor w recenzji z niej zamieszczonej w „Tekstach Drugich” ponownie wytknął braki. Zareagowałam odpowiedzią, którą można było chyba uznać za arogancką, *Jak to zachwyca, kiedy nie zachwyca?*, dając do zrozumienia, że sedno sporu dotyczy Profesorskiego przekonania o nieustająco ważnej roli „świętego” Ingardena w badaniach literackich, a nie tak cenionych przez Niego twardych faktów. Odpowiedź dostałam już w liście prywatnym, z rzetelnym wyjaśnieniem stanowiska i ugodową konkluzją o szklance: Jego zdaniem do połowy pełnej, moim – do połowy pustej.

Dostałam znacznie więcej niż prywatny list, bo lekcję naukowego *decorum*, by nie przyznać otwarcie: naukowej obyczajności. Profesor bez większego wysiłku mógł mnie zmiążyć wyliczeniem kompromitujących niedopażeń, których w książce nie brakuje, a które na pewno dostrzegł. Przypomniał też swoje trzecie przykazanie: „Z rygorów postępowania naukowego zrezygnuj tylko wtedy, gdy już wyczerpałeś wszystkie ich możliwości”. Toteż na kolejne pominięcia lub wątpliwe interpretacje, które wytropił (w esejach drukowanych w „Twórczości”; w recenzjach zamieszczanych w „Nowych Książkach”) i publicznie wytykał, odpowiadałam sumiennie – z nieodmiennym zdumieniem: kiedy On to wszystko czyta? Nie tylko naukowe rozprawy i artykuły, ale także eseje oraz recenzje w periodykach artystycznych i popularizatorskich? Wszystkie traktując równie poważnie, bez taryfy ulgowej dla gatunków mniej, jak się powszechnie sądzi, wymagających, w których można – jak się mniema – iść na skróty. Dostałam surową lekcję. Nie respektuję więc i respektować nie

będę jedenastego przykazania Profesora, które zapożyczył od Leo Spitzera: „Nie idź za mną!”. Zwłaszcza dziś iść trzeba.

Lekcję od Markiewicza, jak to się robi w uniwersyteckiej nauce o literaturze, pobrałam nie tylko ja, mieli to szczęście także „moi młodzi”. Wpadłam na pomysł, by pięćdziesiątą rocznicę powstania Katedry Teorii Literatury powołanej w roku 1955 na Uniwersytecie Warszawskim przez Kazimierza Budzyka, która w istocie zakończyła swoje istnienie w Marcu 68 roku, by dalej działać pod zmienioną nie tylko nazwą „zakładu”, uczcić panelem w przypadającą także wtedy siedemdziesiątą rocznicę założenia Koła Polonistów Studentów Uniwersytetu Warszawskiego imienia Józefa Piłsudskiego, z którego Budzyk się wywodził. Zaproszenie do udziału, i to entuzjastycznie, przyjął Profesor Markiewicz, lojalnie uprzedzając, że tylko prześle tekst do odczytania i włączenia do planowanej książki, bo wiek nie pozwoli mu uczestniczyć w obradach. Tekst przysłał oczywiście w terminie, a potem sypnęły się listy, w których wielokrotnie wprowadzał tak drobne zmiany, jak szyk wyrazów w tytule, i tak często prosił o sprawdzenie, czy aby w cytacie przecinek stoi na miejscu, czy bibliografia Bara potwierdza jego fiszkę, że udręczona Jego skrupulatnością młodzież współredagująca zbiór miała w pewnym momencie dość (cytaty pochodziły z prasy międzywojennej i wymagały ciągłych wędrowek po bibliotekach). Najwytrwalszym jednak ten mimowolny pokaz badawczej rzetelności zaimponował i tak rozsmakowali się w filologii śledczej, w szperaniu w archiwach, że w rezultacie powstały dwa doktoraty poświęcone dziejom polskiej nauki o literaturze. Czy, jak mój, z mimowolnej inspiracji Profesora?

Prowadzone przez trzydzieści lat z Profesorem Markiewiczem epistolarne dialogi dopełniają recenzje z jego książek, które regularnie pisałam, od *Wymiarów dzieła literackiego* poczynając. Na niektóre reagował listami, zawsze też dostawałam od Niego samego kolejne publikacje.

Nie jestem – wiem dobrze – ani jedynym, ani pod żadnym względem wyjątkowym korespondentem Profesora. Ale to Jego listom, zwłaszcza listowi pierwszemu, bardziej nawet niż Jego rozprawom i antologiom, zawdzięczam rozbudzenie zainteresowań dla historii teorii literatury, szczególnie historii teorii polskiej. Zaraził mnie też myśleniem o tym, co nazwałam potem kulturową historią teorii, taką, która nie poprzestaje na rekonstrukcji metodologii i terminologii, ale widzi w tekstach naukowych konteksty: ludzkie losy i doświadczenia. Sam zresztą Profesor w swojej mówionej autobiografii podkreślał, że „ten życiorys naukowy jest także życiorysem osobistym i politycznym”. Antologia polskiej teorii literatury, którą przygotowuję – choć pomyślana zupełnie inaczej niż Jego antologia – bez niej nie mogłaby powstać. I tylko dzięki niej może być heretycka, bo za taką zapewne by ją uznał.

Co bym odpowiedziała na ten zarzut? Że sam w końcu przyznał, iż „nauką jest to, co za naukę jest uważane”.